

**Od autora:** Cześć. Dziękuję za poświęcony czas i ewentualny komentarz. Konstruktywny, będący pomocnym, wskazujący drogę.

---

Sen. Początek. Jest ciemno, wieczór. Nie znam dokładnie pory dnia. Nie mam pojęcia, skąd tu przyszedłem, kiedy wyszedłem z domu, nie pamiętam drogi. Jestem świadom tu i teraz. Tylko to, nic więcej jak to zazwyczaj w śnie bywa.

Szutrowa droga, kilka wysokich drzew po bokach. Rosną w nieregularnych odstępach. Najwyższe wpijają się w niebo koronami niczym rozczapierzonymi pazurami.

Fragmenty ogrodzenia i przebijające przez mrok światła pobliskiej posesji świadczą, że prócz mnie ktoś tu jeszcze jest, w ogóle żyje.

Nie widzę domów, żadnych konturów ścian czy dachów, dostrzegam tylko rozświetlone okna, ich blask. Wiem, że muszę być w domu najpóźniej o dwudziestej trzeciej, góra piętnaście po.

Musi być piątek albo sobota. W piątki i soboty zawsze mogę wrócić do domu nieco później względem innych dni tygodnia.

Powoli pojawiają się szczegóły. Kilka metrów przede mną idzie James. Widzę zarys jego sylwetki, jak się skrada. Między drzewami i krzakami. Idzie przygarbiony, uważnie stawia każdy krok.

Przyspiesza, za moment zwalnia, zatrzymuje się, kuca, odwraca do mnie, przystawia palec do ust, aby zachować ciszę. Wykonuję polecenie.

Za chwilę się rozgląda, nadstawia ucha.

Ma na sobie czarną bawełnianą bluzę i spodnie moro, dłuższe włosy spiął z tyłu w kucyk.

Zerkam za siebie. Za mną stoi Anthony. Ma skupiony wyraz twarzy.

Patrzy przed siebie, nie wiem, na czym koncentruje wzrok. Milczymy.

Ma na sobie ortalionową kurtkę z jakimś jasnym napisem. Nie wiem jakim, litery się rozmazują, są nieczytelne. Do tego spodnie jeansy i czapka. Zwykła bejsbolowa założona daszkiem do tyłu.

Pohukiwania sowy mieszają się ze szczekiem psów. Dochodzą z oddali od strony miasta.

Szelest liści zagłusza szum przejeżdżających w oddali aut, na koniec trzaśnięcie drzwi. Dochodzi skądś, nie wiem skąd, pewnie z któregoś z pobliskich domów.

James ma szesnaście lat. Wiem to. Niedawno miał urodziny. Tyle samo ma Anthony. Jestem w ich wieku, wiem, że jesteśmy rówieśnikami.

Dochodzimy do ogrodzenia z rozciąętą siatką. Przechodzimy. Rozglądam się.

Podwórko jest zapuszczone, pozostawione samo sobie, dzikie.

Po wysypanych tłuczniem ścieżkach nie ma śladu. Zarosły. Wysokie pokrzywy, przerośnięte mlecze, bujna trawa. Pokrzywy mają duże pożółkłe kwiaty. Jest też dzika jabłoń i czereśnia. Mnóstwo leżących, zgniłych owoców. Przez moment czuję zapach fermentacji, zepsucia.

Uświadamiam sobie, gdzie jestem, przypominam sobie. Z mroku niewiedzy wyłania się obraz.

To posesja starego Duncana. Tak, dokładnie! Jestem na posesji starego Duncana. Starego, niespełna rozumu Freda Duncana. Pustelnika, samotnika, wariata.

Całe życie spędził z rodzicami całe życie, pod opieką. Ponoć kiedyś jako siedemnastolatek uszkodził głowę. Pomagał przy żniwach, spadł z wozu, stracił przytomność. Z prawego ucha leciała mu krew, kropla za kroplą na początku potem ciurkiem. W szpitalu okazało się, że miał krwiaka.

Przeżył dwie operacje głowy na otwartej czaszce, trepanacje. Po czymś takim nikt nie jest taki jak wcześniej. Nie w pełni.

Być może są osoby, którym udaje się powrócić w jakimś stopniu do sprawności. Staremu Duncanowi się to nie udało. Jakby jego świadome „ja” zostało zakłete, zamienione w zakrzep i usunięte, wykrojone, następnie wyrzucone na śmietnik z odpadkami medycznymi i razem z nimi utylizowane. Pośród zużytych igieł, zakrwawionych wacików, prześcieradeł, starych narzędzi chirurgicznych, niechcianych płodów.

– Nie mogę niczego obiecać – Powiedział rodzinie Duncana lekarz prowadzący zaraz po trwającej kilka godzin operacji. Dobrze, że nie obiecywał. Skłamałby.

Dopóki żyła mama, funkcjonował. Wraz z jej śmiercią, przestał funkcjonować.

Zwrotnym momentem w jego życiu był fakt odkrycia piwniczki z alkoholem.

Jego Ojciec Ted słynął swego czasu z najlepszego bimbrowa w okolicy. Matkę Katrin produkcja nie interesowała. Nie na większą skalę. Na swoje potrzeby tak, owszem. Nic, jednak ponadto. Otumaniona, nie myśląca trzeźwo łatwiej znosiła życie. W zasadzie życiową porażkę.

Nie tak. Nie tak miało być.

Mieli mieć z Tedem rancho. Mieli hodować konie. Tymczasem najpierw wypadek syna, tysiące dolarów wydane na leczenie, liczne zabiegi, na rehabilitację, konsultacje, medycynę niekonwencjonalną. Następnie bankructwo i śmierć Teda. Zmarł na serce w wieku pięćdziesięciu czterech lat, zostawiając ją samą z przyszytym na stałe do sukienki wówczas dwudziestoletnim upośledzonym Fredem. Jej gehenna trwał przez kolejne trzydzieści lat, kiedy to w wieku dziewięćdziesięciu lat wydała ostatni dech. Ulgi z głębi siebie.

Fred miał wtedy pięćdziesiąt lat. W jego przypadku metryka nie miała znaczenia. Wyglądał źle, dużo starszej. Stąd przydomek „Stary” i określenie stary Fred.

Do piwnicy Duncanów chodziliśmy po bimber. Resztki tego, co zostało. Pozostałości schedy po Świętej Pamięci Katrin i Tedzie. Prócz rozwalającego się domu, połamanych mebli i długów zostawili mu resztki samogonu.

Lubiłem wieczorne wypadki do piwnicy. Miała mnóstwo skrytek i zakamarków. Uwielbiałem klimat niepewności, niewiedzy, co możemy tam zastać, co nas może spotkać.

Zasadniczo wiadomym było z grubsza, czego się spodziewać. Nie było tylko gwarancji, że tym razem też tak będzie. To było w tym najciekawsze, przyciągało niczym magnes. Dreszcz emocji, niepewności, delikatny dyskomfort. Niby kontrolowany, ale tak nie do końca.

O tej porze, Fred dzień w dzień spał. Spał jak zabity, pijany albo w domu w swoim pokoju na piętrze, albo w parku, pod drzewem przy fontannie.

Idziemy w stronę domu. Konkretnie małego okienka prowadzącego do piwnicy.

Powoli wszystko sobie przypominam, układam w głowie. Jest chłodno, jesień, druga połowa września, ewentualnie początek października. Godzina dwudziesta, plus minus.

Noc jest jasna, niebo upstrzone gwiazdami. James ma latarkę w telefonie, bardzo dobrą. Ponadprzeciętnie świecąca. Ja swojego telefonu nie mam, musiał zostać w domu.

Przeciskamy się przez okienko. Kolejno. Tak jak szliśmy. James potem ja i Anthony.

Piwnica jest ciemna, wilgotna. Odpycha. Śmierdzi zgnilizną i zaduchem.

Są miejsca, w których smród przechodzi w smak, stając się zawiesiną.

W jasnym białym kręgu światła pojawiają się stare meble, jakieś poplamione kartony, zardzewiały, niekompletny rower składak, pajęczyny i obraz. Sporych rozmiarów pejzaż marynistyczny.

Rozszalały Ocean lub Morze, ogromne fale. Woda wdziera się na pokład, załoga walczy o życie ostatkiem sił, przegrywa. Kwestia czasu, jak pójdą na dno. To, co widzę, jest ostatnim aktem ich tragedii.

Tuż obok zakryta niebieską wyblakłą plandeką stoi figura, popiersie albo manekin, tak to widzę.

Do tego masa potłuczonych pustych słoików i butelek. Zawsze interesowało mnie, co zasłania plandeka. Nigdy nie miałem odwagi jej podnieść. Nie inaczej jest tym razem.

W rozpadającej się szafie jest cel naszej wizyty, butelka, ostatnia. Przewrócona, stoczyła się w głąb mebla w mrok. Anthony sięga po nią, wyjmując, chowa za pazuchę. Coś mówi. James coś mu odpowiada. Przez chwilę rozmawiają, coś sobie tłumaczą. Nie rozumiem ich.

Równie dobrze mogliby rozmawiać po japońsku, Chińsku, Szwedzku obojętnie. Z ich ust wylewają się rzeki niezrozumiałych dźwięków. Próbuję się skoncentrować. Może to chwilowe, może kwestia zdenerwowania, sam nie wiem.

Stary Duncan zaszedł nas od tyłu. Zrobił to cicho, sprytnie, niepostrzeżenie. Zna rozkład domu. Parteru, piętra i piwnicy. Zna każdy zakamarek, każdą skrytkę, przejście. To jego dom.

Chwyta Anthonego za bark. Mocno z całej siły. Frank to kawał chłopca. Wysokiego, grubego, silnego chłopca. Do tego chorego psychicznie. Miota Tonym jak lalką, jak manekinem, jakby prawie nic nie warzył.

Tony krzyczy z przerażenia, a następnie przelatuje w powietrzu kilka metrów i wali plecami w stary regał. Odbija się, ląduje głucho na ziemi. Solidne drewno odebrało mu dech. Z jego ust wylatuje króciutki gardłowy jęk. Z półek regału na ziemię spadają słoiki. Walą o posadzkę jeden po drugim, tłuką się.

Frank idzie w moją stronę. Stawia krok za krokiem, pewnie, szybko, energicznie. Nie jestem w stanie wykonać ruchu, choćby najmniejszego. Totalny paraliż ciała i układu nerwowego. To samo James.

Stoi z telefonem zaciśniętym w dłoni, z włączonym trybem latarki. Jest przerażony, nieświadomie odgrywa rolę oświetleniowca.

Gdzieś z głębi piwnicy dochodzi jęk Tony'ego. Długi, przeciągły.

Nagle zapada cisza. Znikają dźwięki, kompletnie. Mute. Nie słyszę kolejnych jęków przyjaciela ani kroków zbliżającego się w moją stronę Freda. Jego ciężkie buciory na pewno wydają dźwięk przy zetknięciu z podłogą piwnicy. Muszą wydawać. Doskonale za to widzę jego twarz i czarne oczy.

Chwyta mnie za gardło, zaciska palce. Ma w nich imadło. Widzę jego wykrzywianą w coraz bardziej chorym-demonicznym grymasie twarz. Widzę w jego oczach szaleńczy rodzaj alkoholowej pustki, skrywaną latami furię. Miała wystarczająco czasu, by dojrzeć, by się ujawnić, zaprezentować szerszej publiczności, by dorosnąć do zabijania.

Jedynie nagłe odcięcie energii życiowej może go powstrzymać. Jedynie utrata przytomności może zapobiec śmiertelnemu zaciśnięciu dłoni na mojej szyi. Tak myślę, w zasadzie to wiem. Nie wiem tylko jak tego dokonać. W głowie mam jeden wielki chaos myśli przeplatających się wspomnień.

Przed oczami przelatują obrazy. Fajne, miłe, przyjemne i te mniej przyjemne. Z dzieciństwa i młodości. Wszystko byłoby dobrze, wszystko działałoby dalej, gdyby nie Piwnica Duncanów. Niepotrzebnie przyszliśmy. Niepotrzebnie dzisiaj. Błysk.

Wraca ciemna piwnica. Wyłania się Duncan, połamany regał za jego plecami i mnóstwo szkła na podłodze.

Zwolnił morderczy uścisk, już mnie nie trzyma, nie dusi.

Kaszlę i zachłannie łapię tlen. Jeszcze chwila i byłoby po mnie. Zgasłbym.

Stary zatacza się, odwraca plecami. Widzę sączącą się z rany na boku jego głowy krew.

Rana jest szeroka. Skóra rozeszła się na kilka centymetrów. Krew leci strumieniem po ramionach, plecach, barwi na czerwono. Przecieram dłonią twarz. Ręka jest czerwona, to krew. Krew z szerokiego na kilka centymetrów rozcięcia na głowie Freda.

Z ciemności wyłania się drewniany element. Konkretny, masywny. Leci w stronę głowy Duncana. Uderza w nią raz, drugi. Przy drugim uderzeniu z mroku wychodzi Tony, to on zadaje uderzenia.

Bije z całej siły z całym wziętym zamachem i skrętem tułowia. Trzyma w ręku nogę od stołu.

Dużą, solidną, dębową z kantami. Duncan sunie w jego stronę, delikatnie się zatacza. Uderza go wielką pięścią w twarz. Najpierw lewą potem prawą. Anthony się przewraca, jest oszołomiony.

Ciosy ważyły, rzadko kto potrafiłby je ustać.

Noga od stołu uderza o podłogę, turla się w mrok. Śledzę ją wzrokiem.

Duncan stawia nogę na klatce piersiowej znokautowanego Tony 'go. Wojskowy but uciska okolice serca. Unosi nogę. Boże! Chce go zabić! Chce z całym impetem opuścić nogę. Chce, aby masywny bucior strzaskał mostek i klatkę piersiową Tony'ego. Za moment to zrobi.

Odzyskuję władzę w ciele. Nagle, po prostu. Coś się odblokowało, zwolniło uścisk.

Działam instynktownie, odruchowo, ratuję kumpla. Chwytam porzuconą dębową nogę.

Wiem, gdzie leżała.

Uderzam z całej siły kilka razy. Nie zamykam oczu. Nie mogę ich zamknąć, mógłbym nie trafić albo trafić nie w to miejsce, co trzeba. Celuję w głowę, konkretnie w skroń rozwścieczonego gospodarza.

Muszę go unieruchomić, muszę odebrać mu przytomność, inaczej Tony zginie. Następny będę ja i James. On się nie zatrzyma. Nie ot tak.

Trafiam idealnie tam, gdzie chciałem w skroń. Przewraca się, sztywnieje, z jego ust wydobywa się dziwny dźwięk, charkot jakiego jeszcze w życiu nie słyszałem.

James zjawia się nagle, nie wiem skąd. Po prostu wychodzi z ciemności z młotkiem w ręku.

Musiał wisieć gdzieś na ścianie, na haczyku. Stamtąd go zapewne zdjął. Staje nad ciałem Freda, bierze zamach, uderza. Bije w głowę w twarz, raz, drugi, trzeci. Tryska krew, czaszka ulega deformacji.

Gniecie się, zapada sama w sobie. Wygląda groteskowo. Na swój sposób śmiesznie, zabawnie nawet. Ciało Duncana zaczyna się trząść. Usta wypluwają głośny charkot, zęby i krew. Jakby się w niej topił, jakby nią dusił. Gestykułuje dłońmi. Dziwna pantomima umierającego pochwyconego w agonie wstrząsy człowieka.

Chcę odwrócić wzrok! Chcę spojrzeć na coś innego! Cokolwiek! Byle tylko nie na roztrzaskiwaną twarz. Niestety nie mogę.

Krwawa maska przyciąga uwagę. Chwyta zmysły i ciągnie w głąb mroku na samo dno.

Daje satysfakcję i złudzenie panowania nad sytuacją. Swego rodzaju transformacji, przekroczenia pewnej granicy. Pozwala zatracić się w przyjemności zadawania bólu. Pozornego przejścia kontroli nad biegiem zdarzeń. Chcę czerpać przyjemność z chwili, kiedy kat staje się ofiarą.

Już nie jesteśmy zwierzyną, już nie. Błysk.

Budzę się zlany zimnym potem. Chce mi się pić, czuję gulę w gardle jakby larwę. Grubą, mięsistą, doskonale odżywioną, z trudem oddycham. Przeklinam pod nosem raz, drugi, trzeci. Żegnam się.

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

Nienawidzę tego snu. Nienawidzę powracającego sennego koszmaru. Pojawia się zawsze przed kryzysem, zawsze, gdy mam chęć odreagować paskudną szarość i bezsens życia, wyrzucić coś z siebie. Coś złego,

paskudnego wlewającego się w umysł niczym smoła. Wlewa się każdej minuty, każdej godziny, każdego dnia, tygodnia, miesiąca, dochodząc do pewnej granicy, temperatury wrzenia.

Robi to powoli, po trochu, ma czas.

Sen jest niczym złe proroctwo, niechciany prognostyk. Przepowiednia niechcianych uczuć, chcących materializacji nastrojów.

Biorę leki, muszę, od razu trzy tabletki. Dawka uderzeniowa. W przeciwnym razie przy pierwszej lepszej nadarzającej się okazji mógłbym stracić panowanie nad sobą. Mógłbym zrobić krzywdę, sobie albo komuś, z byle powodu, błahostki jakiejś, później być może nawet tego żałować. Dlatego przeciwdziałam.

Nie chcę tego gówna, nie chcę zła i czerpania radości z zadawania bólu. Chcę się cieszyć, uśmiechać, dawać radość.

Z Duncanem to był wypadek. Tak, zawiniliśmy, wszystko się zgadza. Nie powinno nas tam być.

Wiem to, zdaję sobie z tego sprawę. Ale byliśmy, zabiliśmy i uciekliśmy, pozorując samobójstwo.

Tylko głupek uwierzyłby w samobójczą śmierć starego. Nie z takimi obrażeniami, nie w takim stanie, w jakim go znaleziono w piwnicy.

Udało się nam. Nie przypadkiem udało. Ojciec Tonyego był Szeryfem i to głównie jemu zależałoby wyciszyć sprawę. By ukręcić jej łeb, broń Boże nie nadawać rozgłosu.

Wszyscy trzej mielibyśmy zmarnowane życie. A tak miał je tylko Duncan.

Tak wtedy myśleliśmy, niestety to nie takie proste, koszmar powraca. Powraca, co jakiś czas, zarzuca niewidzialną pętlę na mózg i dusi. Jest niezmordowany, żąda ofiary.

To wyrzuty sumienia, a może karma sam nie wiem. Albo klątwa. Klątwa starego niespełna rozumu Duncana.

W agonii, kiedy się dusił, kiedy bełkotał, skuteczniając agonalną pantomimę, mówił coś.

Parskał krwią i rzucał klątwę. Całkiem możliwe, całkiem prawdopodobne, że tak właśnie było.

Czerpiąc radość z czynienia zła, przyjęliśmy je do siebie. Wszyscy trzej, klątwa zadziałała.

Trafiła na podatny grunt, na żyzne, młode umysły. Wdarła się do mózgu i w nim zagnieżdżyła.

Zło raz zaproszone będzie powracało. Nie pozwoli o sobie zapomnieć, taka jest cena.

Z bulterierem jest podobnie. Z natury to raczej spokojny, rodzinny, towarzyski pies. Mówię raczej, ponieważ zawsze gdzieś tam znajdzie się jakiś jeden agresywniejszy szczeniak, z każdą rasą tak jest. Jest jed-

nak jeden warunek. Nie można poddawać go szkoleniu obronnemu. Podczas szkolenia poznaje, czym jest agresja, celowo się ją w nim pobudza. Nieunikniony schemat. W niektórych sytuacjach musi być nią przepelniony. Musi atakować, chce zagryźć, zrobić krzywdę.

To już nigdy nie będzie ten sam psiak. Bulterier to zwierzę identycznie takie samo jak my, ludzie.

Anthony nie dał rady. Trzy lata temu popełnił samobójstwo. Wcześniej dużo pił, brał narkotyki.

Miał częste ataki agresji. Nie potrafił nad nimi w żaden sposób zapanować. Ciął się, a gdy to nie pomagało, uciekał w alkoholowo-narkotyczny niebyt. Rodzinna tragedia.

Osierocił dwuletnią córkę. Miał dwadzieścia cztery lata.

James zaraz po rozwodzie zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Ostatni raz widziałem go cztery lata temu. Mówił, że tam jest mu łatwiej się z tym uporać. Ze złymi myślami z niepohamowaną chęcią zadawania bólu i przemożną żądzą odebrania życia.

- Na misjach, czasami... no wiesz. Tam nikt tego nie sprawdzi, nie zweryfikuje. Nikt nie docieka. Tam często się takie rzeczy dzieją, codziennie ktoś kogoś zabija. Wtedy przechodzi na jakiś czas.

Na pół roku, czasami parę miesięcy dłużej. Nie chcę brać leków, nie chcę chemii, unikam szprycy. Psycholodzy i psychiatrzy to nie moja bajka. Nie potrafię o tym mówić, nie komuś obcemu, komuś, kogo nie znam. To by i tak nic nie dało. Co miałbym powiedzieć? Niby że to coś... Coś w mojej głowie każe mi... Sam widzisz, nawet tobie nie potrafię się przyznać. Psychol nas przeklął.

Nic nie dzieje się przypadkiem, to klątwa. Rozmawiałem na ten temat z kilkoma osobami. Wierz albo nie wierz, ale zgred rzucił na nas klątwę. Jesteśmy przeklęci, naznaczeni zbrodnią. Nieodwracalnie naznaczeni, wszyscy trzej do końca życia, do samej śmierci.

Dwa tygodnie temu zginął. Gdzieś w Afryce, podczas potyczki z miejscowymi. Ostra sprawa najeżona lufami. Wymiana ognia broni maszynowej, byli w mniejszości. Podobno umierając, się śmiał, głośno jak szalenciec. Istne wariactwo.

Zostałem sam, jeden jedyny, tylko ja, ostatni przeklęty.

Gardzę złem, bezsensownym, patologicznym, tandetnym.

Nie chcę go, nie ulegnę mu. Muszę tylko wziąć leki. Kilka tabletek i po sprawie. Przejdzie, wiem, że to przejdzie. Nie wiem na jak długo, ale przejdzie. Gdybym mógł cofnąć czas. Tylko raz. Tylko ten jeden jedyny raz i nie iść do starego, śmierdzącego, parszywego domu Freda Duncana.

**CDN.**

Link do wersji audio MysteryTV

<https://www.youtube.com/watch?v=KX16GR1XOLk>

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Gabriel G., dodano 01.12.2023 23:06

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).